

Jestem wielbicielem Słowackiego i teoretycznie biorąc trwający w bieżącym roku festiwal jego dramatów powinien mnie niezmiernie cieszyć. Tymczasem jest odwrotnie. Martwię się. Obawiam się, że ten festiwal na ładne kilkadziesiąt lat gruntownie obrzydzi ludziom mojego ukochanego poetę i kiedyś trzeba będzie nowego Małeckiego, żeby go znów z powrotem Polakom odkrywał. Bo u nas coraz to się odkrywa, co już dawno było odkryte, albo zakrywa, żeby potem odkryć.

Mistycyzm Słowackiego błyszczy wieloma poetyckimi pięknościami. Ale tak w większych porcjach na raz jest niewątpliwie dla współczesnego, normalnego człowieka nie do wytrzymania. Gdyby jeden teatr w Warszawie w ciągu sezonu wystawił jednego „Księdza Marka” albo „Sen srebrny Salomei” byłoby to w sam raz jak na zimę stulecia i wiosnę też nie bardzo.

Bardzo mądrze choć za bardzo po cichu napisał niedawno Michałek na tych łamach o losach kina w epoce rozwoju telewizji. Ten sam problem dotyczy teatru. Ani film, ani teatr nie mogą się współcześnie rozwijać, jeśli nie będą brały pod uwagę faktu istnienia i bujnego rozwoju telewizji. O możliwości zniszczenia miliona telewizorów i stacji nadawczych nie ma co nawet marzyć. O ograniczaniu jej wewnętrznego rozwoju także. Były już takie próby stosowane kiedyś wobec radia. Warto chyba przypomnieć, że kiedy w

Polsce radio zaczęło się rozwijać, musiało ono ze Związkiem Wydawców Czasopism podpisać umowę, w której przyrzekało, że nie będzie nigdy nadawać... wiadomości bieżących. Według bowiem ówczesnych mniemań radio nadające dzienniki spowodowałoby likwidację prasy. Tymczasem i prasa istnieje i radio także.

Inna trochę sprawa dziś na froncie telewizja — teatr — kino. Rzeczywiście bowiem spada liczba widzów w kinach i w teatrach. Dzieje się tak nie dlatego, że tak być musi, ale dlatego, że i film, i teatr działają (przynajmniej u nas) w ogóle nie przyjmując do wiadomości istnienia nowego wynalazku i nowej sztuki. Nawet sam Hanuszkiewicz, naczelny reżyser Telewizji, uważa, że jego telewizyjni klienci chętnie opuszczają swoje domy i telewizory, by pobeżnąć do Teatru Dramatycznego, gdzie on — sam Hanuszkiewicz — wystawia „Księdza Marka” i osobiście woła:

„Ten lud, widzę, cały chory,
Wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory...”

A to pomyłka, bo lud coraz zdrowszy i wcale nie chce patrzeć na ogień i upiory. Otóż słuszna myśl Michałka da się zastosować tak samo do teatru jak i do kina. Jak więc można ocalić teatr? Czyli: jakim sposobem można mu zachować widzów? Oczywiście tylko tym sposobem, iż teatr będzie dawał ludziom to, czego nie może mu dać

telewizja, która przecież też ma dość ograniczone swoje możliwości artystyczne. Małą scenę, jeszcze brak barw, niemożność realizowania wielkich widowisk itp.

Czy teatr nasz rozwija cały front, czy mobilizuje wszystkie swoje

Tak i nie

JAN SZELAĞ

możliwość do współzawodnictwa z telewizją? Wprost przeciwnie: w obliczu niebezpieczeństwa nasz teatr jakby dążył do samounicestwienia. Mamy bowiem obecnie u nas teatr reżyserki. Teatr reżyserki

piękna rzecz. Jeśli tylko reżyser ma coś ciekawego do powiedzenia. Tacy reżyserzy zdarzają się. Raz na kilkadziesiąt lat. Nie wierzę, żeby reżyserzy we wszystkich są, czy tam ilu teatrach w Polsce mieli tak wiele do powiedzenia, żeby mogli swoje osoby wysuwać na plan pierwszy. Naprawdę to interesuje bardzo wąskie grono specjalistów, co Słowackiemu wycięła Skuszancka, a co mu uciął Hanuszkiewicz.

Jeśli więc działalność reżyserów sama przez się nie ma dość atrakcyjnej siły, by odciągnąć ludzi od telewizorów, to ma ona pewne bardzo niebezpieczne rezultaty ujemne. Wyniesienie ponad wszystko indywidualności reżyserkiej i wszechwładzy reżysera powoduje w praktyce wzięcie dwóch na prawdę podstawowych korzeni teatru: dramaturgii i aktorstwa. Wiem, że piszę ostro, ale to chyba należy nareszcie powiedzieć. Czytamy o różnych praktykach reżyserkich dokonywanych na dziełach autorów zmarłych. Każdy taki zabieg mrozi krew w żyłach potencjalnych żywych autorów. Być krajany po śmierci to jeszcze glupstwo. Ale poddać się wiwisekcji... Jednym słowem: bezceremonialność reżyserów wobec tekstów, wobec idei i zamierzeń autora powoduje niedorozwój rodzimej, współczesnej twórczości dramatycznej. Można wymienić jeszcze inne przyczyny tego niedorozwoju. Ale w imię prawdy, tej reżyserkiej, po-

mijać nie należy. Jeśli autor uczciwy i porządny ma do wyboru napisanie powieści, do której tekstu nikt mu się nie będzie wtrącał i napisanie sztuki, którą będzie musiał poddać chirurgii plastycznej reżysera i scenografa — wybierze oczywiście to pierwsze.

Po drugie — wyniesienie reżysera na teatralne ołtarze powoduje zanik wielkiej, samodzielnej sztuki aktorskiej. Mamy bardzo zdolnych aktorów. Ich sztuka jednak jest ograniczona i przykrojona do gustów reżyserkich. Tymczasem, gdy może — ta sztuka zwycięża. Eichlerówna z „Britanikiem”, przeznaczonym na małą salę Teatru Narodowego, przechodzi na dużą salę po padnięciu dwóch innych sztuk, w czym słynnej „Sprawy” dawniej Suchowo-Kobyłina, obecnie Korzeniewskiego. Mało tego: kiedy Eichlerówna z tymże „Britanikiem” pojechała na kilka występów do Poznania, bilety trzeba było kupować od koników na czarnym rynku. Ciekawy jestem, ile razy koniki sprzedają bilety wolając:

— Kup pan, stuwa piętnasty rząd. Reżyseruje Kopściakiewicz!

Nie wołają tak, bo reżyserzy na czarnym rynku nie liczą się. Nie chwaleć czarnego rynku, ale to do wodzi, że reżyseria u normalnego widza nie ma tak ogromnego znaczenia. U niego liczy się aktor i autor. Reżyseria to sprawa dla fachowców.

Podobnie jak redaktor w gazo-

cie. Czytelnicy kupują gazetę, czytają ją, lubią ją, przeważnie nie wiedząc jak się nazywa redaktor i kto zacz. I to jest nieuniknione. Pewne prace są skazane na anonimowość. Tymczasem reżyserzy w sposób gwałtowny wypychają się do pierwszego szeregu, czyniąc swoją pracę i swoją rolę pępkiem teatru. I w ten sposób przy braku współczesnego, rodzimego repertuaru, przy fałszywych ambicjach grania na najwyższych tonach mistycyzmu, pesymizmu, pseudointelektualizmu, przy gubieniu aktora; przy wysuwaniu zamiast aktora na pierwszy plan nieruchomej, nieludzkiej dekoracji odbywa się kłaska teatru wobec Telewizji. Nie „Księdzem Markiem” zwabimy ludzi od telewizorów do teatru. Choć w nim dużo poetyckich piękności.

Musi powstać nowy teatr, dający widzowi takie przeżycia artystyczne, jakich nie może mu dać ani kino, ani radio, ani telewizja. Teatr można uratować. Nad tym powinni się zamyślić prawdziwie twórczy reżyserzy, w tym zobać swoje ogromne, historyczne zadanie. No i muszą liczyć się z tym, kim jest, jaki jest widz, czego on od teatru chce. W teatrze obok powagi musi zapanować śmiech, obok zamyślenia zabawa. Teatr musi przestać być oratorium, celebrowaniem czarnych mszy, miejscem złej deklamacji, ale stać się miejscem, gdzie człowiek cieszy się życiem. A tym samym cieszy się sztuką.